



CU 12656



# ZACHODNIA AGENCJA PRASOWA

DZIENNIKARSKA SPÓŁDZIELNIA PRACY

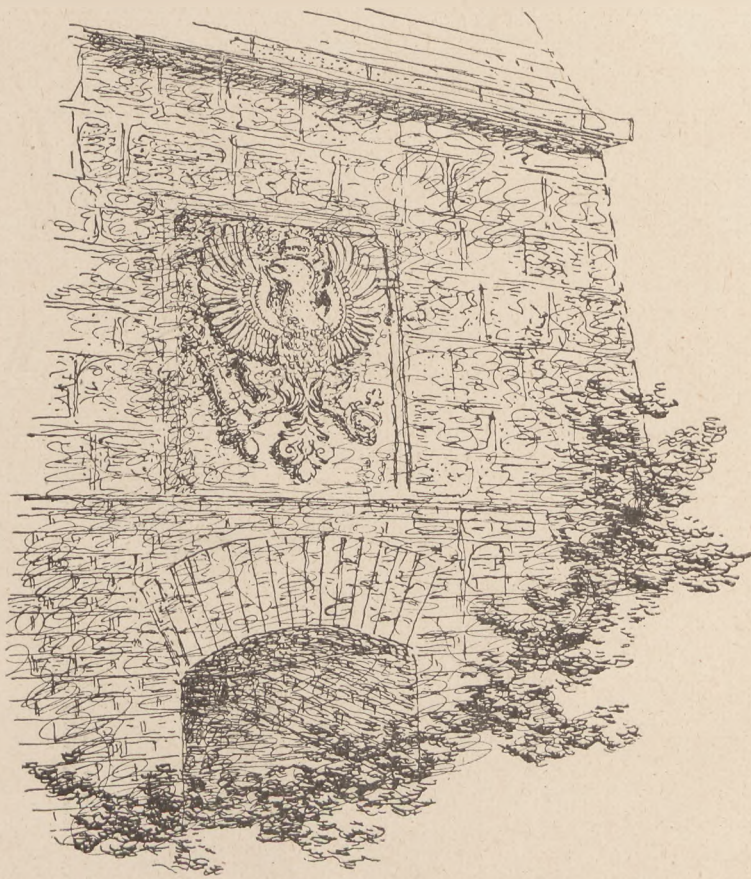
Poznań, ul. Chełmońskiego 1

Oddział w Warszawie, Al. Niepodległości 210

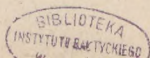
Nr 11/Pp.

26. VII. 1947

## BIULETYN PUBLICYSTYCZNY



Orzeł Polski na starych fortyfikacjach w Kłodzku



## SPIS TREŚCI:

1. ZIEMIE ODZYSKANE W ŚWIETLE CYFR I FAKTÓW
2. Kazimierz Koźniewski — ŚWIĘTA LIPKA
3. DANE HISTORYCZNE O ZIEMIACH ODZYSKANYCH
4. Kazimierz Koźniewski — „ZAKWITNEŁAŚ NAM NA NOWO”
5. Stanisław Pieńkowski — NA ŚLADACH SŁOWINCÓW.

## ZIEMIE ODZYSKANE W ŚWIETLE CYFR I FAKTÓW

## Dynamika zaludnienia Ziemi Zachodnich

## 1) Wzrost liczby Polaków

Liczba polskiej ludności na Ziemiach Zachodnich:

stan na 14. II. 1946 r. — 2.890.000 Polaków

„ „ 1. I. 1947 r. — 4.584.000 „

Pochodzenie Polaków osiedlonych na Ziemiach Zachodnich wg stanu z 1. I. 1947 r.:

Polska ludność autochtoniczna zweryfikowana 1.067.000

Repatrianci z Z. S. R. R. . . . . . 1.650.000

Repatrianci z Zachodu . . . . . 234.000

Przesiedleni z Centralnej Polski oraz niewiadomego pochodzenia . . . . . 1.633.000

Ogółem: 4.584.000

Przewidziany wzrost liczby ludności polskiej na Ziemiach Zachodnich:

Repatrianci z Z. S. R. R. . . . . . 500.000

Repatrianci z Zachodu . . . . . 1.500.000

Przesiedleni (nadmiar ludności) z Centralnej Polski . . . . . 1.500.000

Ogółem: 3.500.000

## 2) Spadek liczby Niemców

Liczba Niemców na Ziemiach Zachodnich:

stan na 1. II. 1946 r. — 2.076.000 Niemców

„ „ 1. I. 1947 r. — 433.000 „

Repatriacja Niemców z Polski zostanie zakończona w roku 1947.



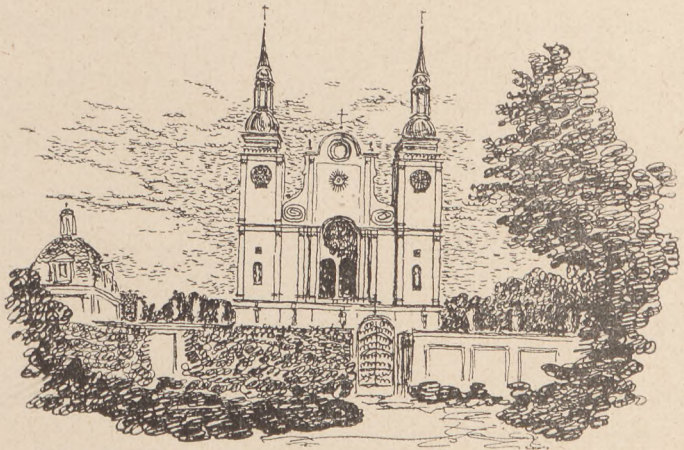
*Polakom - autochtonom Ziemi Odzyskanych*

*Huczą nam w uszach tysiące wydarzeń,  
Niebo jest wiecznie czerwone od gromów:  
Stoimy oto, jak kłody w pożarze,  
iako kominy rozwalonych domów:*

*Nikt nam uśmiechu nie zwabi na usta  
I nikt nas groźbą z miejsca nie odgoni:  
Na bezimiennych, a najdroższych pustkach  
Trzymamy wartę — żołnierze bez broni...*

*Leszek Goliński.*

*Lipiec 1945.*



Kościół w Świętej Lipce

**ŚWIĘTA LIPKA**

Ziemia Mazurska nie była krainą spokoju sprzyjającego zachowaniu się cennych pamiątek przeszłości. Od wieków trawili ją najrozmaitsi najeźdźcy, niszczyli ogniem i mieczem wojska najprzeróżniejsze. Wojna i żołnierze nie przebierali w historycznych budynkach i ogień strawił niejednego dowód polskości Mazur, tak jak strawił je w niedalekim Gdańsku i oddległym Wrocławiu. A czego nie dokonały ślepe siły wojenne — to padło ofiarą wytężonej i systematycznej pracy niemieckiej. Ciężko i trudno jest znaleźć na Mazurach materialne ślady

polskości. Łatwiej odnaleźć polskość i mowę naszą u ludzi, Warmiaków i Mazurów, łatwiej odkryć w ich domowych biblioteczках roczniki „Gazety Olsztyńskiej”, łatwiej — ba! zupełnie łatwo — zauważyć natarczywą polskość ziemczonych nazwisk — niż odnaleźć polską budowlę, wyszukać polskość świadczoną granitem czy cegłą.

Od tej reguły jednym z niewielu przedziwnych wyjątków jest kościół w Świętej Lipce. Kościół, do którego przed dwoma i trzema wiekami wędrowały pielgrzymki z całej Polski. Polski kościół cudami słynący, z których największym chyba był ten właśnie, że jako miejsce katolickiego kultu nienaruszony przetrwał pruską reformację i niemiecką okupację.

Gdzieś w samym środku Prus Wschodnich, między Lidzbarkiem a Kętrzynem, na końcu drogi znaczonej kapliczkami Męki Pańskiej, w niewielkiej kotlinie między dwoma jeziorami i dwoma pagórkami spośród kępy lip wynurzają się raptem ku górze dwie, wysokie, białe, kryte zzieleniałą już blachą, barokowe wieże kościelne. W silnym majowym słońcu kontrastują kolory murów, blachy, drzew i jeziora, tworząc obraz piękny i na tej gotyckiej przeważnie ziemi raczej nieoczekiwany. Zamiast ciężkiego, surowego gotyku wita nas wytworny gościnnie, miękki barok.

Jesteśmy na miejscu. Uparcie dążyłem tu od początku parodniowego już pobytu na Mazurach.

Kościół jest ogromny. Zaraz w pierwszej chwili przytłacza zwiedzającego bogactwem swego przepysznego baroku. Staję u progu kościoła oszołomiony i staram się zdać sprawę z jasnego i wytwornego przepychu, który mnie nagle otoczył. Nie wiem czemu wprzód się przyglądać. Czy wspaniałemu tryptykowi otoczonemu chmurą fruujących aniołków? Czy bogato malowanemu, 19 metrów ponademną rozpostartemu kopulastemu sklepieniu? Czy licznym ołtarzom? Wielkim organom? Pięknie rzeźbionej ambonie? Czy setkom okrągłych, prawie jednakowych malowideł pokrywających obie boczne nawy, z których każde jest upamiętnieniem jakiegoś cudu i zawiera dane o osobie jaka go doznała?

Należy jednak właśnie zacząć od owych schematycznych malowideł, gdyż one zawierają historię tego miejsca. A historia ta, jak to zwykle bywa, poczyna się legendą.

W Rastemborku, dzisiaj nazywanym Kętrzynem, dawnemi laty, gdzieś jakoby w XIII czy XIV wieku pewien zbrodniarz skazany na śmierć oświadczył przed sądem, że Matka Boża objawiwszy mu się we śnie kazała mu wyrzeźbić Jej wizerunek. W tym celu otrzymał od Niej sztylet i stosowny kawałek drzewa. Zbrodniarz, mimo iż nigdy nie parał się snycerką, nader pięknie wykonał boskie zlecenie, na widok zaś tak wyraźnej łaski Bożej sędziowie uwolnili winowajcę. Udał on się w drogę do Reszla i idąc trafił na lipę, na której przybił wyrzeźbioną statuetkę, twierdząc iż to właśnie miejsce upodobała sobie Matka Boża.

Od owego czasu lipa zasłynęła cudami, tak że lud okoliczny wybudował obok kapliczkę, która stała się miejscem tłumnych pielgrzymek ludu polskiego, Mazur i Warmii. Legenda określa czas powstania kapliczki na wiek XIV. Najstarsze jednak zachowane dokumenty z 1491 roku świadczą o istnieniu kaplicy, a przy niej kapelana, dopiero w wieku XV.

Gdy w Prusiech rozpoczęły się wraz z reformacją zażarte walki religijne i polityczne, osławiony książę Albrecht w rok przed traktatem krakowskim burzy kaplicę i ścina lipę, a na jej miejscu buduje szubienicę jako znak ostrzegawczy dla tych wszystkich, którzy nadal pragnęliby pielęgnować cześć Matki Bożej. W dwa lata później, gdy nastąpił definitywny podział na polską Warmię i Prusy Królewskie (Mazury) — ludność tych ostatnich, zgodnie z zasadą „*cuius regio — eius religio*” zmuszona była przyjmując protestantyzm.

Jak zwykle jednak w takich wypadkach religia narzucona nie prędko wyparła wierzenia tradycyjne. Tradycje katolickie ludu mazurskiego oraz bliskość katolickiej Warmii — sprawiły, iż szubienica wystawiona przez Albrechta nie na wiele się zdała. W dalszym ciągu do świętego miejsca płynęły pielgrzymki nie tylko z Mazur, gdzie wytworzył się ciekawy stop religijny: protestanci uprawiający kult Matki Boskiej i świętych, nie tylko z Warmii, ale z całej Polski, z Litwy, Grodna, Mazowsza, Torunia, Warszawy, Poznania a nawet z odległego Lwowa.

W wieku XVII za namową biskupa warmińskiego Szymona Rudnickiego, sekretarza Zygmunta III Wazy, Stefan Zadorski, wykupił grunt w Świętej Lipce i w r. 1619 stanęła tutaj nowa polska kaplica. Zostawała ona pod patronatem króla polskiego i pod zarządem kapituły warmińskiej. W roku 1636 przybyli do Rzeszla Jezuici, objęli opiekę nad Świętą Lipką, a w trzy lata później osiedli tu na stałe. Na ten okres przypada największy rozkwit cudownego miejsca. Ukoronowaniem jego stał się obecnie stojący kościół wybudowany przez Jezuitów w końcu XVII-tego stulecia ze składek zebranych w całej Polsce. Wykańczanie kościoła ciągnęło się jeszcze przez przeszło pół wieku.

O dziwna ironio historii! Wykończenie świątyni polskiej zbiegło się niemal z pierwszym rozbiorem Polski. Nieco wcześniej państwo polskie utraciło zwierzchność nad Prusami. Wtedy to, w r. 1724 władze pruskie zakazały pielgrzymek i uroczystych procesji. Święta Lipka odcięta została od Polski, ale stała się za to arką polskości wśród coraz to bardziej germanizowanych Prus Wschodnich. Gdy Polska wymazana została z mapy Europy, w samym środku Prus Wschodnich istniał i trwał pomnik polskości, pomnik tak silny, że aż po rok 1938 kazania w czasie nabożeństw i pielgrzymek odbywały się w języku polskim.



Kościół i wybudowany przy nim klasztor objęli w r. 1932 Jezuici polscy, by spowrotem przywrócić miejscu temu jego prawdziwy, polski, nigdy zresztą niezatarty charakter.

Święta Lipka wróciła do Polski, by znów stać się miejscem ogólnonarodowych odpustów i pielgrzymek, będących jeszcze jednym z więzów, łączących ten piękny mazursko-warمیński kraj z nami, z resztą Polski.

Tyle historia. Że jest to historia polskiego kościoła, na to nie trzeba nawet szukać dowodów w archiwach świątyni, ni grzebać się w jej bibliotece nieskąpo zaopatrzonej w polonica. Wystarczy uważnie przypatrzeć się wymalowanym na murach nazwiskom pielgrzymów przybyłych tutaj i obdarowanych zdrowiem i szczęściem. Jest Gotkowski z Warszawy, jest „nobili Anna Młodzianowska e Ploecensi”; jest D. Andreas Kossakowski, civis leopoliensis, są Janowie Zimnochowski i Zydkiwicz; Simon Ukleika ex dist. Grodn.; Sofia Grzegorzewa ex Lituania; Maria Swiderska ex Masovia; Nobilis Stanisław Krakowski Polon.; i długi szereg: Słupski, Zbąski, Szczerbiński, Szwidzki (z Torunia), Rostkiewicz, Zawadzki, Żmijewski, Milewski, Reczkowski i inne nazwiska polskie wielkie i małe, znaczne i pospolite, historyczne i zapomniane.

Wystarczy posłuchać opowiadania starej posługaczki kościelnej Niemki i równie starego stolarza, też Niemca, — którzy zgodnie i odruchowo mówią „diese polnische Kirche”...

Gdy już wprowadzony zostałem w historię tego miejsca przez skrzętne opowieści obecnego proboszcza Jezuitę X. Jana Czornaka i owych wspomnianych dwojga Niemców — mogłem zacząć podziwiać monumentalność budowli ostatniego okresu Polski mocarstwowej. I tutaj znać wielki gest!

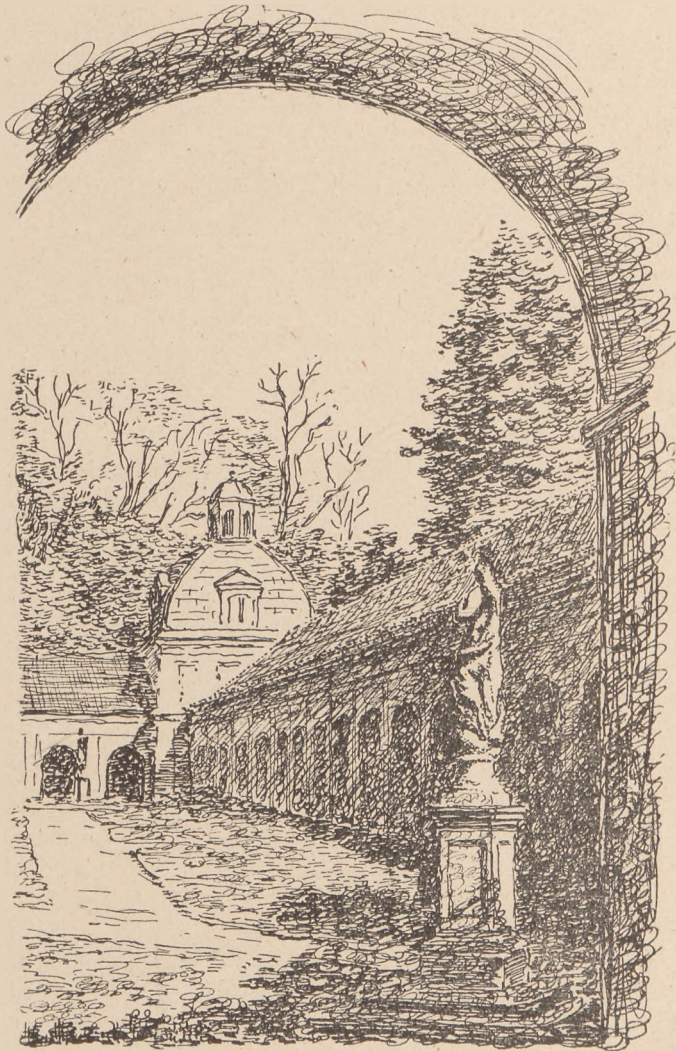
Główny ołtarz, ufundowany przez biskupa Potockiego, mieści trzy obrazy. Jeden Matki Boskiej malowany przez Belgę Pensa w Wilnie w roku 1640 i będący kopią sławnej rzymskiej, uchodzącej za obraz św. Łukasza Matki Boskiej Maggiore. Powyżej jest obraz przedstawiający Nawiedzenie, a ponad nim Wniebowzięcie Najśw. Marii Panny.

Skarbem kościoła jest wielka, pięknie rzeźbiona monstrancja, wyobrażająca Matkę Boską ukazującą się w rozłożystej lipie.

W środku kościoła znajduje się wmurowany pień lipy ze srebrną statuetką Matki Boskiej, a w jednym z bocznych ołtarzy, Matki Boskiej Bolesnej, krzyż cudami słynący.

Pod biegnącą w górze dokoła kościoła galerią widać wizerunki tych panujących europejskich, którzy zasiadali na tronach w okresie budowy kościoła.

Na zewnątrz świątynię okala krużganek łączący cztery kaplice. W krużganku tym umieszczone zostały już w czasach późniejszych obrazy drogi krzyżowej. Całość budynków kościelnych zamyka potężna Zielona Brama, cała z kutego żelaza.



Na zewnątrz świątynię okala krużganek łączący cztery kaplice

2 lipca roku bieżącego, w dzień święta Nawiedzenia Matki Boskiej, Święta Lipka, jak za dawnych lat, stanie się znów miejscem wielkiego polskiego odpustu. W tym roku będzie

to trzydniowy, specjalnie uroczysty, z udziałem duchowieństwa z całej Polski, odpust misyjny. Rozpocznie on na nowo długi ciąg świętolipczańskich odpustów, z których trzy są tutaj szczególnie uroczyste obchodzone: w dniach 29 czerwca, 15 sierpnia i 8 września.

I znowu jak przed wielu, wielu laty lud polski prócz Częstochowy posiada drugie święte miejsce kultu Matki Boskiej. I znowu jak przed wielu, wielu laty ciągnąć będą do Świętej Lipki — już wprawdzie nie pylnymi lecz pięknie asfaltowanymi szlakami — długie szeregi Gostkowskich, Janowskich, Kossakowskich, Żydkiewiczów, Rostkiewiczów, Zbąskich i Swiderskich i wielu innych, których nazwiska ucięte twarzą samogłoską, nie noszą szlacheckich końcówek. Przyjdą tu, by radować się piękną naturą i pięknym kościołem oraz wielbić tę cudowną opiekę, która pozwoliła Świętej Lipce przetrwać nienaruszenie burze religijne, polityczne i wojenne.

I zamiast niemieckiej modlitwy, czy po polsku ścicha nuncionej prośby o opiekę

„Serdeczna Matko Opiekunko ludzi...”

uderzy wnet o barokowe, murowane polską ręką sklepienia pełną piersią śpiewany hymn dziękczynienia:

„Boże coś Polskę przez tak liczne wieki...”

Kazimierz Koźniewski.

## DANE HISTORYCZNE O ZIEMIACH ODZYSKANYCH

### W walce z Brandenburgią i Zakonem Krzyżackim

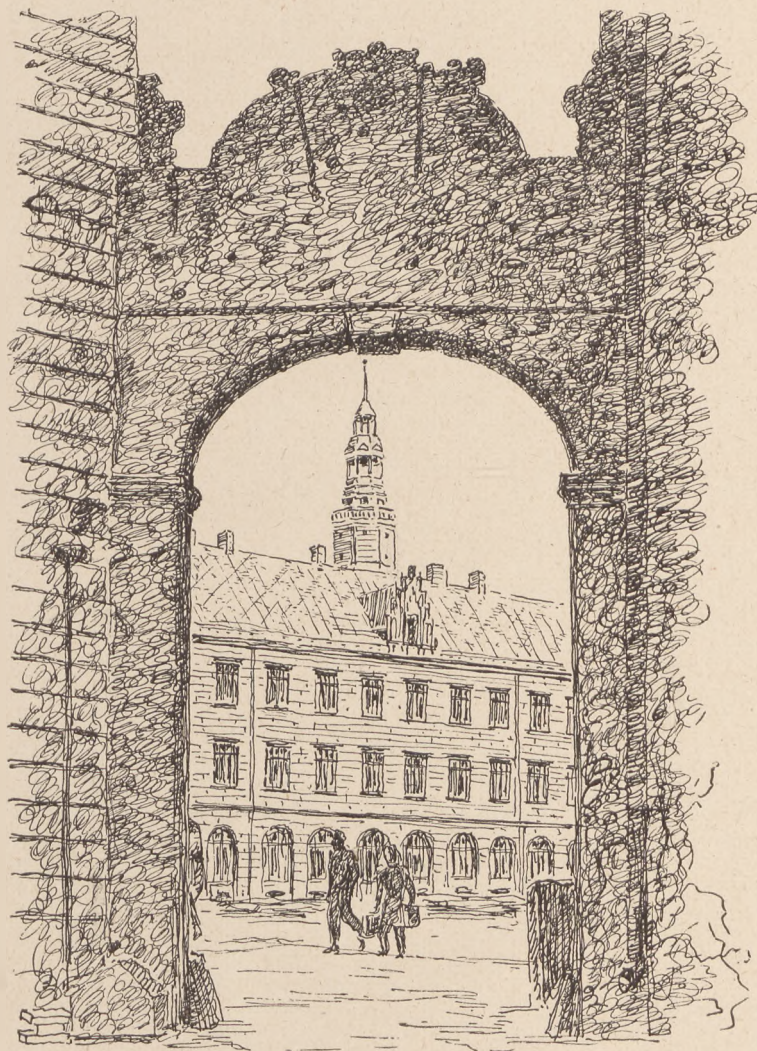
Uporczywym wysiłkom w ciągu całego panowania zawdzięczał Bolesław Krzywousty utwierdzenie władztwa polskiego na całym Pomorzu od Odry do Wisły. Pomorze Gdańskie podlegało bezpośredniej władzy księcia polskiego, książęta zachodnio-pomorscy uznawali jego władzę zwierzchnią. Umierając w r. 1138 mógł Krzywousty z dumą spoglądać na dzieło swego życia. Założone w r. 1140 biskupstwo pomorskie miało swą siedzibę pierwotnie na wyspie Wołyń, a później przeniesione zostało na ląd stały do Kamienia, leżącego na prawym brzegu rzeczki Dziwny. Pierwszym biskupem pomorskim został Polak imieniem Wojciech, towarzysz misyjny św. Ottona.

Jednak fatalny w swych następstwach podział państwa Bolesława między synów doprowadził w rezultacie długotrwałych walk wewnętrznych i zamieszek, osłabiających siłę i spójność Polski, do osłabienia siły oporu przeciw postępowi niemieczyny ku wschodowi.

Groźnym przeciwnikiem, szukającym dróg ekspansji ku wschodowi staje się rosnąca w siłę marchia Brandenburska,



założona w r. 1134 przez margrabiego Albrechta Niedźwiedzia, wielbionego przez Niemców twórcy potęgi wschodnio-niemieckiej. Umiał Albrecht Niedźwiedź ogniem i intrygą odebrać resztki niezawisłości książętom słowiańskim na zachód od Odry. Z organizowane państwo niemieckie zbliża się w trzecim i czwartym dziesiątku XIII w. ku granicom Polski na Odrze, aby niebawem wdrzeć się w jej żywy organizm. Postacią wybijającą się na czoło wśród ówczesnych książąt polskich jest śląski Henryk Brodaty. Gdy Brandenburczycy sięgnęli po Ziemię Lubuską (należała ona wówczas do Śląska), potrafił



Wrocław. Widok na ratusz przez bramę kościoła św. Elżbiety.

zbrojnie odeprzeć ich zakusy. Jednak nie na długo. Jeden z następnych książąt śląskich, Bolesław Rogatka, odstąpił ok. r. 1250 Ziemię Lubuską arcybiskupom magdeburskim w zamian za pomoc, udzieloną w rozgrywkach wewnętrznych. Najsilniejszy bastion polski na zachodnim brzegu Odry, a zarazem klucz do serca Polski znalazł się tym samym w rękę brandenburskim. Stamtąd ekspansja Marchii skierowała się ku północnemu wschodowi wzdłuż Wisły i Noteci, pasem oddzielającym Wielkopolskę od Pomorza Zachodniego. Książęta zachodnio-pomorscy w tym czasie coraz bardziej tracili łączność z Polską. Nie mogąc liczyć na pomoc zwaśnionej i rozdrobnionej Polski, prowadzili samodzielną politykę, starając się lawirować między zaborczością cesarską i duńską. Nie na długo jednak starczyło im siły oporu i w końcu ulegli wpływow politycznym Marchii, stając się jej lennem.

Tymczasem ekspansja Brandenburska robiła tak szybkie postępy, że już w r. 1266 zajęli ważny gród Santok, a w r. 1272 oblegli Gdańsk. Wówczas jednak przyszło opamiętanie i książę Wielkopolski pośpieszył Gdańskowi ze skuteczną odsieczą, a syn jego Przemysław II odebrał Niemcom Santok. Nie mniej jednak pozostał na wschód od Odry na terenie Pomorza Zachodniego klin brandenburski, nazwany Nową Marchią, który oddzielał Pomorze od Wielkopolski i który stał się w przyszłości przyczyną złego, że Polska już do ujść Odry nie wróciła. Jednak pod wpływem narastającego niebezpieczeństwa brandenburskiego nastąpiło ściślejsze zespolenie z Pomorzem Gdańskim.

Równocześnie ze wzrostem znaczenia i ekspansją Brandenburczyków, zaczyna pod boki Polski wyrastać inny groźny i wrogi twór niemiecki — Zakon Krzyżacki. Jak Marchia Brandenburska odgradziła Polskę od Bałtyku nad Odrą, tak usiłowali to samo uczynić nad Wisłą Krzyżacy. Sprowadzeni w r. 1225 przez księcia Mazowieckiego Konrada po to, aby być narzędziem posłusznym w dziele chrystianizacji Prus, stali się rychło, dzięki intrygom, podstępom i oszustwom najzacieńszymi wrogami Polski. Krzyżacy podbili Prusów w ciągu lat kilkudziesięciu i niespodziewanie powstawać zaczął na wschód od dolnej Wisły groźny i silny twór państwowy. W tym samym czasie, jak widzieliśmy, od zachodu wbijać się zaczyna klin brandenburski. Czyż dziwić nas może, że obie te, wrogie polskości a spokrewnione z sobą siły germańskie zapragnęły sobie podać ręce i tym samym odciąć Polskę od Bałtyku? W latach 1308 do 1312 Brandenburczycy na nowo zajęli Santok oraz pas ziemi na północ od Noteci zbliżając się do zachodnich granic Pomorza Gdańskiego. W tym samym czasie Krzyżacy dokonali podboju Pomorza Gdańskiego, posuwając się w dół Wisły ku morzu. Podboje brandenburskie i krzyżackie połączyły się, Polska została odcięta od morza. Wybitny historyk



polски Z. Wojciechowski tak o tym pisze: „Był to cios w same podstawy państwowości polskiej, gdyż w istocie swej i w tradycjach była Polska państwem bałtyckim, rozsiadłym nad brzegami dwu rzek bałtyckich. Przez zabory Marchii i Zakonu trzymaną była za gardło przez Niemcy u wylotu swych rzek — kręgosłupów. O jakimś trwałym kompromisie mowy być nie mogło: czekała Polskę walka na śmierć i życie.”

Taką sytuację zastał odnowiciel jedności polskiej, król Władysław Łokietek. Otoczony pierścieniem wrogów od południowego zachodu, zachodu i północy skierował cały wysiłek na rozerwanie go. Nie mogąc liczyć na powodzenie w rozprawie ogólnej z przeważającym wrogiem, nawiązał Łokietek bliskie stosunki z uzależnionymi od Niemców książętami Zachodnio-Pomorskimi, a zatarg z Krzyżakami oddał pod sąd papieża. Nie wiele wprawdzie osiągnął, ale podtrzymał ideę walki, o Bałtyk i przekazał ją synowi swemu Kazimierzowi Wielkiemu. Wprawdzie i Kazimierzowi nie udało się przywrócić panowania polskiego nad Bałtykiem między Odrą i Wisłą, jednak dzięki niestrudzonym wysiłkom zdołał choć część strat uzyskać. W dwóch zbrojnych wyprawach przeciw Marchii w latach 1365—1368 odebrał grody Santok i Drzeń, oraz przerwał połączenie Marchii z Zakonem, nawiązując terytorialnie łączność z Pomorzem Szczecińskim. Córkę swą Elżbietę wydał za Księcia Pomorskiego Bogusława, a syna z tego małżeństwa Kazka Szczecińskiego adoptował i uczynił swym dziedzicem. Umierając w r. 1370 nie zostawił wprawdzie Kazimierz Wielki Polski opartej bezpiecznie o Bałtyk, lecz ostatnimi czynami swego życia, skierowanymi ku odzyskaniu Pomorza Zachodniego utwierdzał niejako dawny szlak Piastów.

### **Ponad 2 miliony Polaków powróciło do kraju**

Dziedzice (ZAP). Z okazji dwulecia działalności punktu etapowego Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR) w Dziedzicach i przybycia przez ten punkt półmilionowego repatrianta, władze PUR-u zorganizowały w Dziedzicach konferencję prasową, na której udzielono szeregu ciekawych informacji. W chwili zakończenia wojny na Zachodzie Europy znajdowało się około 2,5 miliona Polaków. Liczba ta obejmowała żołnierzy polskich, jeńców wojennych, wywiezionych w r. 1944 do Niemiec powstańców warszawskich, robotników, deportowanych na roboty do Rzeszy itd. Z liczby tej powróciło do kraju na własną rękę, zanim jeszcze Państwowy Urząd Repatriacyjny rozpoczął swą działalność, około 800 tysięcy ludzi. Po podjęciu pracy przez PUR w 1945 r. zorganizowano wzdłuż granic 16 punktów etapowych, m. i. w Sanoku dla powracających z Rumunii, dalej w Bielsku, Dziedzicach, Międzyzlesiu, Lignicy, Zbąszyniu itd. Obecnie jest czynnych 7 punktów etapowych: w Dziedzicach — głównie dla powracających z ame-



rykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec i Austrii, oraz z Włoch i innych krajów południowych, w Szczecinie — dla repatriantów z brytyjskiej strefy okupacyjnej (przede wszystkim transporty morskie z Lubeki i 1 transport tygodniowo drogą lądową), w Gdańsku — dla powracających z Anglii, dalej w Gubinie i Dąbroszynie (w pobliżu Kistrzynia) dla powracających jeszcze ze strefy sowieckiej, w Łignicy — dla repatriantów, przybywających pociągami wahadłowymi, jakimi w tamtą stronę wywozi się z Polski Niemców, wreszcie w Międzyzlesiu — specjalnie dla górników — reemigrujących z Francji i Belgii. Oczywiście dominującą rolę odgrywają trzy pierwsze punkty (Dziedzice, Szczecin, Gdańsk). Przez wszystkie punkty powróciło dotąd do Polski z Zachodu i Południa 1.302.574 osoby. Jeżeli dodamy do tego około 800 tysięcy Polaków, którzy przyjechali do kraju samorzutnie w pierwszym okresie — okaże się, że ogółem powróciło już ponad 2.100.000 ludzi, czyli że za granicą pozostaje jeszcze w okupowanych Niemczech, Austrii, Francji i Anglii około 400 tys. Polaków.

#### Nieznane Polonica w Bibliotece Miejskiej w Gdańsku

Biblioteka Miejska w Gdańsku stanowi dziś jeden z bogatszych księgozbiorów w Polsce, jeżeli chodzi o literaturę i źródła dotyczące Niemiec, Prus Wschodnich i Pomorza, w szczególności Gdańska. Poza obfitym materiałem zagranicznym znajduje się tam pokaźna ilość druków polskich i Polski dotyczących. Za czasów niemieckiego zarządu Biblioteki Miejskiej w Gdańsku przed wojną, wielu badaczy polskich znajdowało tam źródło do swych prac, a duża część poloniców zarejestrowana była w słynnej bibliografii Estreichera. W r. 1937 zorganizowana została ekspedycja bibliograficzna członków poznańskiego seminarium kultury staropolskiej, mająca na celu wyszukanie druków polskich i Polski dotyczących, na podstawie najnowszego katalogu biblioteki. Charakterystyce zebranego materiału ekspedycji, poświęcony jest komunikat Działu Informacji Naukowej Instytutu Bałtyckiego, opracowany przez J. Miśkowiaka, jednego z organizatorów prac ekspedycji. Materiał powyższy w postaci kilku tysięcy kartek przetrwał szczęśliwie okupację, lecz wobec wstrząsu, jakiego doznała Biblioteka Miejska w Gdańsku wskutek wojny, będzie on na nowo porównany z obecnym stanem tego księgozbioru i dopiero po tej kontroli będzie mógł stanowić cenne uzupełnienie bibliografii Estreichera. Praca nad przygotowaniem tego materiału została już podjęta na Uniwersytecie Poznańskim.

## „...ZAKWITNĘŁAŚ NAM NA NOWO...“

O ojczysta nasza mowo  
 Coś kwitnęła nam przed laty  
 Z a k w i t n ę ł a ś nam na nowo  
 Jako kwitną w lesie kwiaty.

Regionalny poeta mazurski, cieśla z Ogródka, pow. łeciego, sławny **Michał Kajka**, w przytoczonym wierszu, napisanym po plebiscycie, użył formy życzeniowej — „zakwitnijże nam na nowo“.

*„Mowa polska jest piękniejsza i cudniejsza niż język francuski i niemiecki, więc się jej poczciwy człowiek wstydzić nie powinien i owszem pilnie się jej uczyć i o nią dbać i o utrzymanie jej jak o wielki skarb starać się powinien“.*

Krzysztof Celestyn Mrongowiusz  
 (1764—1855).

Nie doczekał sędziwy poeta spełnienia swego życzenia. Własne jego wnuki, naprzekór dziadowi już nie mówiły po polsku; uległy całkowitej germanizacji. Dopiero rok 1945 przyniósł zmianę. Uczniowie Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Pasym-Rudziskach wymalowali na frontonie swej szkoły wiersz Kajki. Zmienili w nim tylko formę czasownika na „zakwitnęłaś“. Opanowanie mowy polskiej jest tą pierwszą siłą skłaniającą młodzież do wstępowania na uniwersytety ludowe i do szkół polskich.

Dwa są uniwersytety ludowe na ziemiach Mazur i Warmii — w Rudziskach i w Morażu. — **Cel ich jest jednakowy: wywalczyć dla Polski młode pokolenie autochtonów.** „Młode pokolenie“ jest określeniem nader szerokim i może za śmiałym. Przez Uniwersytet Mazurski przeszło do tej pory stutrzydziestukilku wychowanków; uniwersytet w Morażu kończy dopiero drugi kurs. Cyfry wychowanków są więc bardzo małe. Mogły by być większe, gdyby możliwości materialne uniwersytetów na to pozwalały. Stefan Sulima pisząc jako pierwszy w Polsce przed pół rokiem o obu uniwersytetach, nazwał je terminem dokładnie odzwierciadlającym treść tej pracy: **laboratoria polskości**. Próbuje się tu pewnych metod, które później zastosowane w szerszej skali dadzą należyty rezultat. Każdą rzetelną pracę wychowawczą zaczynać należy od niewielkich grup ludzkich, które potem rozrastają się i powiększają metodą — rzecz by można — łańcuszkową. Ci wychowankowie uniwersytetów weszli już, lub wejdą w życie tej ziemi. Są już i będą nauczycielami szkół wiejskich, urzędnikami w spól-

dzielniami, rolnikami, pracownikami urzędów mniejszych. Niektórzy mają już teraz posady. Chętnie są poszukiwani. Oni przecież znają te ziemie i tych ludzi. Oni właśnie są i będą tym najwartościowszym łącznikiem między napływową falą Polaków a autochtonami; potrafią rozumieć i tłumaczyć obie strony. Będą tym cennym ogniwem pośrednim, którego dotąd jest brak.

Powrót do swego narodu — to jedna z najtrudniejszych spraw życia ludzkiego. Trudna dlatego, iż w każdym narodzie i w każdej ojczyźnie jest tyleż zła co i dobra, zła — co odtrąca i dobra — co wchłania. A człowiek idący ku Niej też nie jest przecież ideałem. Ciernista to droga, na której zrzadka tylko rosną róże. Bądźmy politycznie rozsądni — nie utrudniajmyż młodym Polakom tej drogi i tak dostatecznie ciężkiej.

Olsztyn, stolica województwa, dzieli się na dwa obozy. Jedni — entuzjastują się pracą Małka w Rudziskach. Druzy — osądzają ją nader surowo, chwając znow osiągnięcia Boenigka w Morażu. Różne są to bowiem uniwersytety. Różnicę tę szczególnie plastycznie zauważyłem, gdy w ciągu dwu kolejnych wieczorów udało mi się być na dwóch wieczornicach: w Rudziskach i w Morażu. W Rudziskach deklamowano stary, regionalny, mazurski wiersz, zaczynający się od słów:

*Jestem wesół przez rok cały,  
Chocz mam grunczyk tylko mały,  
Nie zamieniam panem sądowym,  
Nie z landratem, nie wodzem wojskowym.  
Moja włóczka mnie zawsze dobrze żywi,  
Kto mych słów nie pojmie, niech się dziwi...*

Wiersz ten deklamują w Rudziskach w jego autentycznej, gwarowej postaci. W Morażu usłyszałem coś zupełnie innego. Zbiorową deklamację i inscenizację utworu będącego najczystszy przykładem i pomnikiem współczesnej polszczyzny literackiej — „Śląsk śpiewa” Juliana Tuwima. W tym przeciwstawieniu gwarowego wiersza regionalnego i ogólnopolskiej poezji Tuwima tkwi właśnie owa zasadnicza różnica w metodach pracy i kierunkach wychowawczych obu Uniwersytetów, różnica która powoduje ową rozbieżność w sądach i sympatiach wśród możliwych miasta Olsztyna.

**W uniwersytecie Mazurskim droga do polskości prowadzi przez regionalizm mazurski. Pan Małek mówi swym wychowankom: jesteście Mazurami a więc jesteście Polakami. Waszym domem jest ta ziemia, ale waszą ojczyzną jest Polska.**

Między niemieckością a polsnością jest stadium pośrednie: mazurskość. Niemcy już ją raz spróbowali wygrać. Udało się im to tylko w pewnym stopniu — zbyt późno do tego się zabrali, i zbyt ryzykownej sztuki chcieli dokonać. Mimo



wszystko język mazurski jest językiem polskim a nie germańskim. **Niemcząc — należało odrzucić zupełnie język mazurski. Polszcząc — możemy właśnie od niego zaczynać.** Niemcy odciągali Mazurów od folkloru — Polacy przywracają folklor, gdyż on jest naszym sprzymierzeńcem w walce o dusze tych ludzi: jest on dla nich śladem wskazującym na łączność z folklorem polskim, z słowiańską kulturą. Na starych kafkach pieców stojących w izbach warmińskich i mazurskich odnajdujemy przecież napisy polskie.

**Inną drogą idzie się w Morażu. Tu dąży się wprost do polskości.** Tutaj na naczelnym miejscu nie są umieszczone cytaty z mazurskiego poety Kajki, ale pięć prawd Związku Polaków w Niemczech, z których pierwsza dumnie brzmi: **Jesteśmy Polakami!** Prawda ta ma większy oddźwięk pod warmińskim niż pod mazurskim niebem. Warmia była dłużej polską. Warmiak pan Boenigk, przedwojenny działacz Związku Polaków w Niemczech, gdy z wojennego obozu koncentracyjnego wrócił na swą ziemię rodzinną, nie szukał pośrednictwa regionalnej warmińskości. Nie chciał tworzyć nowego separatyzmu dzielnicowego — co właśnie mają za złe niektórzy Polacy z Olsztyna uniwersytetowi i działalności pana Małłka. Boenigk rzuca od razu młodzież na pełne wody polskości — a każe jej pływać. Długo im jednak pomagając w pierwszych ruchach, długo ich prowadząc na szkolnej wędce. Małłek ma młodzież starszą, nawet dorosłą i kurs w Rudziskach trwa tylko pół roku. Nadaje się tam młodzieży tylko pierwsze, mocne pchnięcie. W Morażu Boenigk ma młodzież młodszą i trzyma ją u siebie przez cały rok. W Rudziskach odbywa się proces odciążenia od niemieckości i ukazania, że rodzinna kultura mazurska jest kulturą polską. Faktyczną dalszą drogę do pełnej polskości odbywa już uczeń sam potem w życiu. W Morażu następuje przerzut prosto z niemieckości od razu w polskość. Trwa to dłużej, dłuższej wymaga pracy.

Która metoda okaże się lepszą? Życie dopiero pokaże, jak silna będzie polskość Mazurów wychowanych w Rudziskach i jak trwała będzie polskość zaszczipiona w Morażu?

W obu niwersytetach młodzież mazurska i warmińska, pospołu z młodzieżą mazurską z Działdowszczyzny i pospołu z młodzieżą repatriantów i przesiedleńców, gdyż i taką spotyka się w Morażu — odbywa swą drogę do Polski. **Pierwszym etapem tej drogi jest język polski, jest cud tej mowy, która ludności steranych krajów, która dzieciom pomordowanych za polskość i za niemieckość ojców, zakwitnęła na nowo.**

Naszym zadaniem baczyć, by nie skończyło się na kwiatkach. By przyszedł czas na owoce i na owocobranie. By mazurscy i warmińscy wychowankowie uniwersytetów ludowych i polskich szkół średnich poszli na wieś, do miasteczek, między najmniejsze dzieci autochtonów i uczyli je polskiej

mowy. Tak jak zrobił to Gustaw Niszk, młody 19-letni chłopak, syn Mazura ze wsi Dybowo spod Pasymia, który skończywszy Uniwersytet w Rudziskach osiadł jako nauczyciel w szkółce wiejskiej w Krzywejnodze i całą gromadkę młodych złotowłosych dzieciaków o doskonałym polskim akcencie, obcych imionach Kurta, Herberta, Gertrudy, Ingi, Elzy i swoich nazwiskach Radka, Gierażyńskiego, Michałka, Kurowskiej, Kruka — uczy, jak uczą w całej reszcie Polski, z elementarza Falskiego: „Ala ma psa Asa. As jest to pies Ali”...

Za lat parę te same złotowłose chłopaki będą z przejęciem deklamować „...Iam czego rozum nie złamię. Orla twych lotów potęga, jak piorun twoje ramię...”

W przestronnej izbie szkolnej małej wioski Krzywanoga dzieje się uroczysty cud. Mała Gertruda Bötcher czyta powoli:

Ala ma psa Asa. As jest psem Ali...

Czuję łzę pod powieką i wiem, że Gustaw Niszk ze swą dzielną siostrą Katarzyną i tymi wszystkimi małymi Radkami, Krukami i Gierażyńskimi idą dobrą drogą do Polski.

I Polska też jest na dobrej drodze, by wygrać dla siebie młode pokolenie Mazurów i Warmiaków.

**Szczęść im więc Boże!**

Kazimierz Koźniewski.

#### NA ŚLADACH SŁOWINCÓW

Akta niemieckiego konsystorza w Szczecinie mówią o walce, jaką pastory niemieccy w drugiej połowie XVIII wieku toczyli o wprowadzenie języka niemieckiego w kościołach ewangelickich wśród Słowinców, zamieszkałych w rejonie Głównyc w pasie nadmorskim między jeziorami Gardna i Łeba. Akta te, oraz prace niemieckich obiektywnych naukowców mówią o resztkach Kaszubów w pow. słupskim, którzy odcięci od macierzystego pnia kaszubskiego pasem niemieczyny w pow. łęborskim utrzymali mowę słowiańską w swej archaicznej formie od pogańskich czasów (dialekt słowiański).

Niemieccy pisarze mówią też o pastorze Pontanusie, który w XVII w. w Smoldzinie wygłaszał kazania po kaszubsku i pisał książki religijne w narzeczu kaszubskim.

To wszystko wiemy. Ale interesuje nas, co z dawnych walk ludu kaszubskiego o język zostało do dziś w terenie. Jakie ślady w mowie, tradycji czy poczuciu odrębności przetrwały u rybaków i rolników uprawiających nieurodzajne pola między bagnami.

Samochód unosi nas szosą ze Słupska do Małej Gardny. Na horyzoncie ukazują się żółte pasemka diun — nieomylny znak, że zbliżamy się do morza. Jezioro Gardna rozlewa się szeroką, szarą taflą, na której widać sterczącą kępę kamienną.

Kościół w Małej Gardnie. Milczą mury, w których rozbrzmiewały niegdyś pieśni kaszubskie. Tu Słowińcy protestowali w pierwszej połowie XIX w. przeciw przysłaniu pastora, który nie znał ich języka. Tu przed stu laty modlono się jeszcze po kaszubsku. Ludzie, których dziś tu spotykamy, to repatrianci. Ich śpiewna wymowa wskazuje, że przyszli z ziem północno-wschodnich. Autochton, do którego zaprowadzono nas, nazywa się Pigorz. Ma lat 65. Pytamy o Słowińców, o język kaszubski, o słowa, które pamięta z lat młodości.

Więc słyszał, że tu byli Kaszubi. Nawet słyszał, że odprawiano w kościele ewangelickim nabożeństwa dwujęzyczne raz niemieckie, raz kaszubskie. Ale to było bardzo dawno. Potem już wszyscy mówili tylko po niemiecku i o języku kaszubskim zapomniano.

Idziemy na cmentarz. Wszystkie napisy na krzyżach w języku niemieckim, ale nazwiska tych, którzy w ziemi śpią, są słowiańskie. Oto kilka: Paschelka, Martelock, Jost, Conja, Polleks, Soleck, Jaschob.

Wjeżdżamy do Smoldzina. Kościół obecny został wybudowany na miejscu tego, w którym odprawiał nabożeństwa Pontanus.

Pytamy kościelnego o księgi, które po Pontanusie były przechowywane na plebanii. Księgi Pontanusa w języku Słowiańskim zabrał delegat uniwersytetu w Gryfii. Kościelny, człowiek 60-letni, umiał powiedzieć tylko tyle, że za jego młodych lat Kaszubi mieszkali w Klukach. Wiedział, że uczeni niemieccy przyjeżdżali tu i badali język kaszubski, szukali pism i książek kaszubskich.

Portret Pontanusa przedstawia męża w sile wieku z długą brodą, w todze. Obie ręce oparte na otwartych księgach. Tekst jednej z nich zawiera gotykiem napisane pierwsze dwa przykazania Boskie w języku polskim.

Tekst drugiej księgi jest hebrajski. Napis u góry portretu po łacinie. Ale tytuł i dwa przykazania przytoczone czystą polszczyzną dają wystarczające świadectwo polskości Pontanusa. Polak — Pontanus działał wśród ludu kaszubskiego na Pomorzu szczecińskim poza granicami współczesnego mu państwa polskiego.

Mądre oczy człowieka, który tu działał i zostawił ślad swej myśli religijnej i narodowej, patrzą na nas z odległości trzech wieków.

Jedziemy dalej do Kluk, gdzie język słowiański miał utrzymać się najdłużej.



Kluki leżą na zachodnim brzegu jeziora Łeba wśród bagien i lasów. Dzięki temu Słowiańszczyzna miała tu geograficzne warunki obronne przed naporem niemieckim. Dziś lasy w dużej części zostały wycięte. Trzęsawiska zaś i mokre łąki zostały.

Przeważają w Klukach autochtoni. Dziela oni chaty i gospodarstwa z repatriantami. Na piaszczystej drodze wiejskiej bawią się dzieci ostatnich mohikanów Pomorza Zachodniego z dziećmi repatriantów z Wileńszczyzny. W gwarze dziecinnej rozbrzmiewa język polski. Pierwszym autochtonem jest Dargusz, lat około 45. Pochodzi z Głównyc, które kiedyś były centrum handlowym Słowińców. W Klukach zamieszkuje od 25 lat. O Słowińcach nie słyszał. Ale o Kaszubach słyszał. Ojciec jego mówił, że kiedy był dzieckiem, rozmawiali tu wszyscy tylko po kaszubsku. Kiedy on przeprowadził się do Kluk, starsze pokolenie mówiło jeszcze po kaszubsku, było to około 1920 r. Żona jego pochodzi z Kluk, ale z rodziny dawno zgermanizowanej, wywodzącej się z Lęborskiego. Mieli tu gospodę. Pytamy się o starych ludzi. Dargusz odpowiada, że ci czasami znają język kaszubski. Nazwiska tutaj mają brzmienie kaszubskie. Porównujemy je z książką niemieckiego slawisty dr Lorenza; tak, to są nazwiska tych rodzin, które ten badacz wskazywał jako potomków Słowińców, mówiących przed zaledwie 40 laty wyłącznie po słowińsku. Idziemy do jednej z chat. Dwoje starsuszków w biednej izdebce. On stary rybak, ona w łóżku, niedołączna, ale dobrze operuje pamięcią. Kaszubi potwierdzają nasze przypuszczenia.

Pytamy czy pamiętają słowa kaszubskie. Stary rybak mówi o rzeczach, potwierdzonych już przez innych, że rybacy gdy wypływali na jezioro Łebskie tam na wodzie mówili tylko po kaszubsku, chociaż w mowie codziennej używali już dawno języka niemieckiego. Pytamy się o nazwę sieci i słyszemy wyraźną odpowiedź „niewód”. Więc niewodem ryby łapano od Łaby aż po Wołgę. Pytam się rybaka o słowa modlitwy, odpowiada, że rodzice jego mówili „Wojcze nasz”. Ten człowiek przeżył w Klukach trzy ćwierci wieku, nie stykając się z ludźmi ze świata. W ustach jego te słowa Modlitwy Pańskiej to nieomylny pomnik Słowiańszczyzny w zamierzchłej przeszłości.

Dla towarzysza mego, badającego fizjograficzne nazwy, mają jednak najważniejsze znaczenie nazwy wzgórz, części wsi, nazwy zatok i głębi na jeziorach Łeba, nazwy błot itp.

Stary rybak uśmiecha się i wolnym głosem objaśniając po niemiecku położenie, podaje te tak cenne dla nas nieoznaczone na żadnej mapie słowiańskie nazwy przechowane w pamięci tego ludu od czasów pogańskiego Światowida. Słyszemy „Zapiecki”, „Piaskowe”, to przysiółki Kluk, a dalej „Przystań”, „Bałęcz”, „Pawelki”, „Ruszki”, to zatoki na jeziorze, a „Dambowe” i „Ługowe” to kępy leśne.

Jeszcze przed 20 laty byli tu ludzie, którzy tym językiem mogli posługiwać się w mowie codziennej. Dziś z pamięci starca wydobywamy tylko pojedyncze słowa. A jest ich tak mało. Pamięć ludzka jest tak krótka.

W innej chacie nieco młodszy rybak informuje nas, że wioślując, rybacy podawali sobie komendę „prawa”, „lewa”, a z nazw ryb pamiętamy „łokonia”.

Młodzież w wieku około 20 lat już nic nie pamięta.

Ale najmłodsze dzieci bawiąc się z dziećmi repatriantów, mówią już po polsku. Mam wrażenie, jak gdybym chwycił rwącą się nić dziejów...

Stanisław Pieńkowski.

### **Do października wszyscy Niemcy opuszczą Polskę**

W a r s z a w a (ZAP). Od dnia 24 lutego 1946 do 15 czerwca 1947 opuściło Polskę w ramach akcji repatriacyjnej

**1.828.448 Niemców.**

Pozostaje jeszcze w Polsce około 350 tysięcy Niemców, którzy zostaną repatriowani do swej ojczyzny do października br.

Akcja repatriacyjna Niemców jest zsynchronizowana z akcją repatriacyjną Polaków z zagranicy. Wszyscy Niemcy pracują w przemyśle lub rolnictwie jako fachowcy. Z chwilą gdy do kraju wracają odpowiedni fachowcy Polacy — zatrudniani Niemcy stają się zbędni i natychmiast wyjeżdżają w transportach do Niemiec. W ten sposób m. in. stale zmniejsza się liczba Niemców zatrudnionych w górnictwie. Ich miejsce zajmują fachowcy górniczy polscy z Francji i Belgii oraz zachodnich stref niemieckich.